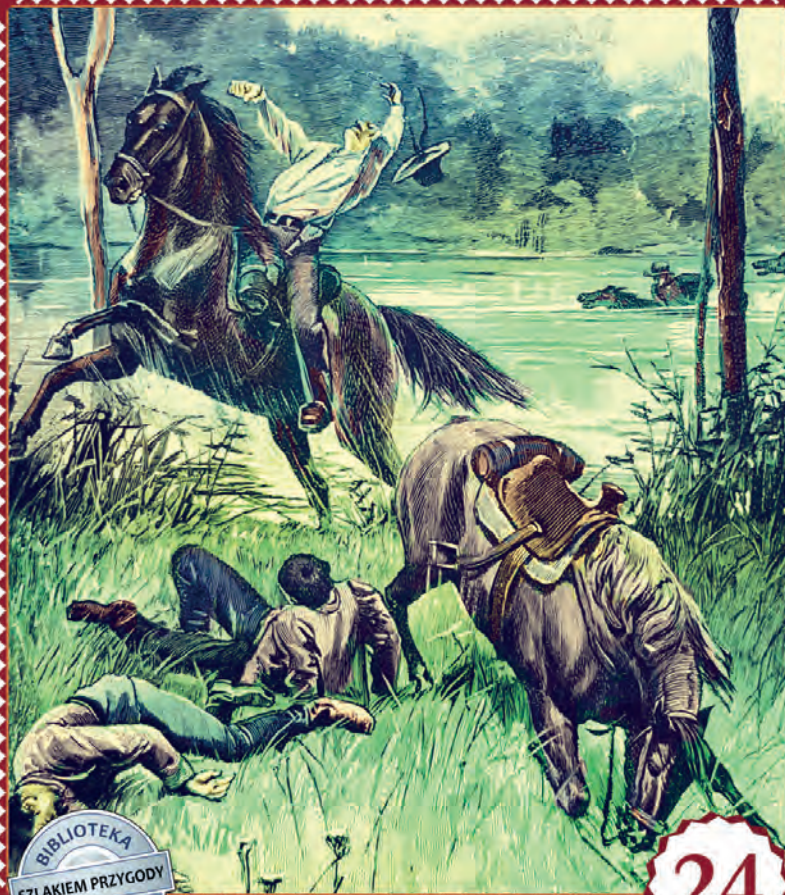




Karol May
SKARB W SREBRNYM JEZIORZE
CZEŚĆ PIERWSZA



BIBLIOTEKA
SZLAKIEM PRZYGODY
ANDRZEJA

24

ISBN 978-83-65753-93-9 (całość)
ISBN 978-83-65753-94-6 (część 1)

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Karol May

**SKARB
W SREBRNYM JEZIORZE
Część pierwsza**



Karol May (1842-1912) urodził się w miasteczku Ernstthal u podnóża Rudaw Czeskich. Ojciec był tkaczem, matka akuszerką. Dziewięcioro z jego czternaściora rodzeństwa zmarło bardzo wcześnie. Jako kilkuletnie dziecko stracił wzrok, który odzyskał dopiero po operacji. Lata życia w ciemności miały niebagatelny wpływ na jego psychikę.

W wieku lat dwudziestu uzyskał dyplom nauczycielski, ale już po dwóch tygodniach pracy za drobne kradzieże trafił na sześć tygodni aresztu. Po wyjściu na wolność popada w nowe kłopoty: udaje okuliste, dokonuje kradzieży futer. W 1865 roku zostaje skazany na cztery lata pozbawienia wolności. W więzieniu pracuje w bibliotece. To wówczas postanowił zostać pisarzem. Po wyjściu na wolność kontynuował jednak dawne życie. Kiedy znów złapała go policja, twierdził, że jest synem właściciela plantacji z Martyniki.

Badacze życia i twórczości Maya spekulują na temat jego choroby psychicznej. Prawdopodobnie pisarz cierpiał na narcystyczne zaburzenia osobowości.

Miał 32 lata, gdy opuszczał więzienie. Chciał wyemigrować do Ameryki, zamiast tego został redaktorem w jednej z dreźnieńskich gazet. W piśmie „Deutsches Familienblatt” publikuje pierwszy odcinek cyklu „Z tecki podróżnika”. Powieści w odcinkach przeżywały wtedy rozkwit, a May okazał się utalentowanym ich autorem. Najslynniejszą z nich jest *Leśna Różyczka*.

W 1886 roku nawiązuje współpracę z tygodnikiem młodzieżowym „Der Gute Kamerad”. Publikuje w nim m.in. słynne powieści z Dzikiego Zachodu: *Syn Pogromcy Niedźwiedzi*, *Skarb w Srebrnym Jeziorze*.

Na początku lat 90. XIX w. ceniony wydawca Friedrich Ernst Fehsenfeld proponuje mu długoterminowy kontrakt. W 1892 roku ukazuje się pierwszy tom „Opowieści podróżniczych Karola Maya” *Przez pustynię i harem*. Wydana wkrótce w tej serii powieść *Winnetou, czerwono-skóry dżentelmen* (1893) osiąga niebywały sukces.

Przekonany, że czytelnik potrzebuje wrażenia autentyczności, z początku poprzestawał na aluzjach, że pisze nie tylko o rzeczach wymyślonych, lecz również o tym, czego sam doświadczył. Z każdą kolejną historią granice między fikcyjnymi bohaterami a autorem zacierały się coraz bardziej. May zaczął przekonywać, że wszystkie opisane przez siebie przygody przeżył osobiście. Odpowiadał na listy swoich wielbicieli, rozdawał swoje zdjęcia w przebraniu Old Shatterhanda lub Kary Ben Nemsi.

W wieku 56 lat May był u szczytu sławy. Chwalił się, że mówi 40 językami, a rozumie nieskończenie więcej. Owe iluzje doprowadziły w końcu do mistycznego pacyfizmu z Winnetou jako swego rodzaju czerwonym Chrystusem w roli głównej. Ostatnie powieści pisarza ociekają mistycyzmem i symboliką.

U schyłku życia dogoniły go kłamstwa z przeszłości. W 1899 roku do zarzutów, że zmistyfikował swoje dawne życie, dołączyła krytyka jego twórczości, zwłaszcza wczesnych powieści brukowych. May w panice usiłował usunąć ślady popełnionych oszustw. Poleciał wyrzucić kompromitujące zdjęcia, zakazywał druku swoich wczesnych powieści. Na jaw wyszły wszystkie mactactwa: fałszywy tytuł doktorski uniwersytetu w Rożen, zatajone kary. Walka przed sądami ciągnęła się prawie dziesięć lat. Pisarz pogrążył się w depresji, nie był w stanie pisać. Na koniec pojawił się wyrok przyznający literatowi prawo do innego postrzegania prawdy. Straconego zdrowia nie mogło to jednak zwrócić.

Kilka lat przed śmiercią Karol May wraz z drugą żoną Klarą wybrał się wreszcie do Ameryki. Przejechał z Nowego Jorku i Bostonu do wodospadu Niagara. Człowiek, który nazywał Dzikiego Zachód swoją ojczyzną, przerobił dzielnie program nowicjusza w Ameryce. Smutnym ukoronowaniem owej podróży była wizyta w rezerwacie, gdzie czterystu potomków plemienia Irokezów gnieździło się w namiotach dla bydła. Rzeczywistość bardzo rzadko wygrywa z wyobraźnią.

Jego popularność trwa do dzisiaj. W domu pisarza w Radebeul pod Dreznem funkcjonuje muzeum Karola Maya i kultury indiańskiej. W Niemczech organizowane są coroczne spektakle plenerowe oparte na motywach jego powieści. Wydawnictwo Karl-May-Verlag, zajmujące się spuścizną pisarza, od lat jest jednym z najpopularniejszych w jego ojczyźnie. W planach jest budowa wielkiego, nowoczesnego muzeum Karola Maya w Radebeul.

Karol May



SKARB
W SREBRNYM JEZIORZE
Część pierwsza

Przełożyła i przypisami opatrzyła Kamila Oratowska

**Sześćdziesiąta druga publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Dwudziesty czwarty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału niemieckiego:
Der Schatz im Silbersee

© Copyright for the Polish translation by Kamila Oratowska 2019

67 ilustracji, w tym 16 kolorowych: Ewald Thiel
(zaczepnięte z wydań z 1891 roku oraz z 1907)
Ilustracje na okładce i w tekście podkolorował Dariusz Kocurek

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Maciej Milach
Korekta: Andrzej Zydorczak
Projekt okładki: Barbara Linda

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© **Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2019**


ISSN 2449-9137

ISBN 978-83-65753-93-9 (całość)

ISBN 978-83-65753-95-3 (część pierwsza)

Rozdział I

Na rzece Arkansas¹

koło południa bardzo gorącego dnia czerwcowego „Dogfish”², jeden z największych parowców pasażersko-towarowych na rzece Arkansas, rozbijał swymi potężnymi kołami łopatkowymi fale nurtu. Wczesnym rankiem opuścił Little Rock³ i wkrótce miał dotrzeć do Lewisburga⁴, aby przybić tam do brzegu, jeśli należałoby wziąć na pokład nowych pasażerów lub towary.

Wielki upał wypędził lepiej sytuowanych podróżujących do kajut i kabin, a większość pasażerów pokładowych leżała za beczkami, skrzyniami i innymi pakunkami, które użyczały im choć odrobinę cienia. Dla tych pasażerów kapitan kazał urządzić pod rozpiętym płótnem *bed and board*⁵, na którym stały wszelkiego rodzaju szklanki i flaszki, a ich paląca zawartość była jednakowoż przeznaczona nie dla delikatnych języków i podniebień. Za szynkwasem⁶ siedział kelner z zamkniętymi oczami i znużony upałem kiwał głową. Ilekroć podniósł powieki, jego usta cedziły ciche przekleństwo albo jakieś inne dosadne słowo. To jego rozdrażnienie zwracało się ku grupie około dwudziestu mężczyzn, którzy siedząc na ziemi w kręgu przed bufetem, podawali sobie z rąk do rąk kubek z kośćmi. Grali o tak zwa-

¹ *Arkansas* – rzeka w USA, płynie na wschód i południowy wschód przez stany Kolorado, Kansas, Oklahoma, do stanu Arkansas; jest czwartą co do długości rzeką Stanów Zjednoczonych (2334 km) i głównym prawym dopływem rzeki Missisipi.

² „*Dogfish*” (ang.) – „Koleń”, gatunek rekina.

³ Little Rock – stolica i jednocześnie największe miasto amerykańskiego stanu Arkansas w USA; zawdzięcza swoją nazwę formacjom małych kamieni znajdujących się wzdłuż południowego brzegu rzeki Arkansas.

⁴ *Lewisburg* – nieistniejące już miasto (*ghost town* – miasto widmo) w stanie Arkansas; istniało od 1831 do 1883 r., kiedy przestało być siedzibą Hrabstwa Conway w stanie Arkansas.

⁵ *Bed and board* (ang. dosł. „łóże i stół”) – tu: bufet.

⁶ *Szynkwas* – dawn.: bufet w szynku, karczmie, przy którym kupowało się alkohole.

nego „drinka”, to znaczy, że przegrywający musiał po skończonej partii postawić każdemu z partnerów w grze kieliszek wódki. Z tej właśnie przyczyny kelner tracił szansę na upragnioną drzemkę.

Ludzie ci nie spotkali się z pewnością dopiero tutaj, na pokładzie *steamera*¹, gdyż byli ze sobą na „ty”, a z ich przypadkowych słów wynikało, że dobrze się znają. Mimo tej ogólnej poufałości, jeden z nich cieszył się pewnego rodzaju szacunkiem. Nazywali go Cornelem, co jest częstą przeróbką słowa „*colonel*”², pułkownik.

Był to człowiek wysoki i chudy. Jego gładko ogoloną, ostro i kanciasto zarysowaną twarz okalała ruda, szpeciniasta broda. Krótko ostrzyżone włosy były także rude, co można było zauważyć, gdyż stary, znoszony kapelusz filcowy zsunął sobie daleko na kark. Jego ubranie składało się z ciężkich butów skórzanych podbitych gwoździami, nankinowych³ spodni i krótkiej bluzy z tegoż materiału. Kamizelki nie nosił, zamiast niej miał na sobie pomiętą, brudną koszulę, której rozchełstany kołnierz nie był związany chustką, i szeroko otwarty ukazywał nagi, spalony od słońca tors. Wokół bioder owinał czerwony szal z frędzlami, spoza którego wyzierała rękojeść noża i kolby dwóch pistoletów. Obok leżały prawie nowy karabin i skórzana torba zaopatrzona w dwa rzemienie, dzięki którym mógł nosić ją na plecach.

Inni mężczyźni byli ubrani w podobny sposób, niestarannie i równie niechlujnie, ale za to także uzbrojeni po zęby. Nie było wśród nich ani jednego, który by na pierwszy rzut oka wzbudzał zaufanie. Grali w kości z prawdziwą namiętnością, a toczyli przy tym rozmowę tak niewybredną, że choć odrobinę przyzwoity człowiek nie zatrzymałby się przy nich z pewnością ani na chwilę. W każdym razie łyknęli już niejednego „drinka”. Ich twarze płonęły nie tylko od słońca, paląca wódka także roztaczała nad nimi swą władzę.

¹ *Steamer* (ang.) – parowiec.

² *Colonel* (ang., fr.) – pułkownik, stopień oficerski; w większości sił zbrojnych po stopniu pułkownika są stopnie generalskie.

³ *Nankin* – rodzaj bawełnianej tkaniny płóciennej o gęstym splocie, przeważnie koloru płowóżółtego, z niej szyje się m.in. bieliznę, męskie spodnie oraz inną odzież; nazwa tkaniny pochodzi od chińskiego miasta Nankin.

Kapitan opuścił mostek i udał się na tylny pokład do sternika, aby udzielić mu kilku niezbędnych wskazówek. Gdy tak się stało, sternik zapytał:

– Co pan sądzi, kapitanie, o tych drabach, którzy siedzą tam z przodu przy grze w kości? Zdaje mi się, że to tacy chłopcy, których nie-
zbyt chętnie widzi się na pokładzie.

– I ja tak myślę – odparł zapytany. – Podali się wprawdzie za *harvesterów*¹, chcących dostać się na Zachód, aby nająć się do pracy na farmach, ale ja nie chciałbym być w skórze tego, u którego pytaliby o robotę.

– *Well, sir*². Ja myślę, że są prawdziwymi trampami³. Może przy-
najmniej tu na pokładzie zachowają spokój!

– Nie radziłbym im naprzykrzać się nam bardziej, niż jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Mamy na pokładzie dość rąk, aby ich wszystkich wrzucić do starej, błogosławionej Arkansas. Zresztą, przygotujcie się do cumowania, bo za dziesięć minut będzie widać Lewisburg!

Kapitan wrócił na mostek, by wydać potrzebne przy przebijaniu do brzegu rozkazy. Wkrótce ukazały się budynki miasta, które statek pozdrowił przeciągłym gwizdem syreny. Z przystani dano znak, że parowiec ma zabrać ładunek i pasażerów. Podróżni, znajdujący się do-
tąd pod pokładem, wyszli na górę, by delektować się tą krótką przerwą w nudnej podróży.

Jednakże widok, jaki ukazał się ich oczom, nie był zbyt zajmujący. Lewisburg nie miał wówczas takiego znaczenia jak dzisiaj. Na przystani stało tylko kilku beczynnych gapiów. Do zabrania było tylko parę skrzyń i pakunków, a nowych pasażerów, którzy weszli na pokład, było tylko trzech i, gdy zapłacili za wejście na pokład, wcale nie byli potraktowani przez kapitana jak dżentelmeni.

Jednym z nich był biały o wysokiej i nadzwyczaj silnej posturze. Nosił tak gęstą i ciemną brodę, że nad nią widać było tylko oczy, nos i górną część policzków. Na głowie miał starą czapkę bobrową, z bie-

¹ *Harvester* (ang.) – żniwiarz, zbieracz plonów.

² *Well, sir* (ang.) – Tak, proszę pana.

³ *Tramp* (ang.) – wędrowiec, włóczęga.

giem lat niemal całkowicie wyłysiała. Określić jej dawny kształt, graniczyłoby z cudem. Najprawdopodobniej przybierała ona już wszystkie możliwe formy. Ubranie tego mężczyzny składało się ze spodni i bluzy z mocnego, szarego płótna. Za szerokim skórzanym pasem tkwiły dwa rewolwery, nóż i kilka niezbędnych dla westmana¹ drobiazgów. Poza tym miał ciężką dubeltówkę, do rękojeści której przywiązany był długi topór, by dało się nieść wygodniej obydwu narzędzia.

Kiedy zapłacił za przejazd, rozejrzał się badawczo po pokładzie. Dobrze ubrani pasażerowie z kajut zdawali się go nie obchodzić. Jego wzrok zatrzymał się na pozostałych, którzy wstali od gry, aby przyrzec się wchodzącym na pokład. Ujrzał Cornela i szybko odwrócił oczy, jak gdyby wcale go nie zauważył. Podciągając na mocne uda zsuwające się cholewy² wysokich butów, mruzczał cicho do siebie:

– Do diaska! Jeśli to nie jest rudy Brinkley, to niech mnie uwężdzą i pożrą razem z łupiną! Na pewno nie przygruchał sobie takiej gromady chłopców dla jakiegoś zbożnego celu. Mam nadzieję, że mnie nie zna.

Ten, którego miał na myśli, również zdziwił się jego widokiem i zwrócił się cicho do swoich towarzyszy:

– Spójrzcie tylko na tego czarnego typa! Czy któryś z was go zna?

Na pytanie odpowiedzieli przecząco.

– Hm, musiałem go już kiedyś widzieć i to w okolicznościach nie bardzo dla mnie przyjemnych. Płacze mi się jakieś niejasne wspomnienie o tym.

– To i on musiałby cię znać – odparł jeden. – Popatrzył na nas, ale na ciebie nie zwrócił uwagi.

– Hm! Może jeszcze sobie przypomnę. Albo lepiej, zapytam go o nazwisko. Wtedy będę wiedział, na czym stoję. Twarz mogę zapamiętać, ale nazwiska nigdy. Namówmy go na drinka!

– Jeśli tylko zechce!

– To byłoby haniebną obrazą, jak wszyscy wiecie. Ten, komu odmówią drinka, ma w tym kraju prawo odpowiedzieć nożem lub pisto-

¹ *Westman* (ang.) – człowiek Zachodu, myśliwy.

² *Cholewa* – wysoka część buta okrywająca łydkę.

letem, a jeśli zakłuje obrażającego, nie zatroszczy się o to nawet pies z kulawą nogą.

– Ale ten czarny nie wygląda na takiego, co by go można było zmusić do tego, co mu miłe nie będzie.

– *Pshaw!*¹ Założmy się!

– Dobrze! Zakład, zakład! – rozległo się wokoło. – Przegrywający stawia każdemu trzy szklanki.

– Zgadzam się! – oświadczył Cornel.

– Ja też – odpowiedział drugi. – Ale musi być okazja do rewanzu. Trzy zakłady i trzy drinki.

– Z kim?

– Najpierw z czarnym, którego, jak utrzymujesz, znasz, ale nie wiesz, kim jest. Potem z jednym z tych džentelmenów, którzy gapią się na brzeg. Weźmy tego wielkiego draba, który wygląda przy nich jak olbrzym wśród karłów. A na koniec z tym czerwonym Indianinem, który wszedł na pokład z synkiem. A może się go boisz?

Odpowiedzią na to pytanie był ogólny śmiech, a Cornel odparł pogardliwie:

– Ja miałbym się bać tej czerwonej gęby? *Pshaw!* A może jeszcze tego olbrzyma, na którego mnie szcujesz? Do wszystkich diabłów! Ten człowiek musi być silny! Ale właśnie tacy giganci mają zwykle najmniej odwagi, a ten jest tak wyelegantowany, że z pewnością umie zachować się tylko na salonach, a nie wśród ludzi naszego pokroju. A więc przyjmuję zakład. Trzy drinki z każdym z nich. A teraz do dzieła!

Ostatnie trzy zdania wykrzyczał tak głośno, że musieli go usłyszeć wszyscy pasażerowie. Każdy Amerykanin, a szczególnie każdy westman, zna znaczenie słowa drink, zwłaszcza gdy zostanie wypowiedziane tak głośno i groźnie, jak to miało miejsce tutaj. Dlatego oczy wszystkich zwróciły się na Cornela. Widziano, że jest już dość pijany, jak i jego towarzysze, a mimo to żaden nie odszedł, bo każdy oczekiwał ciekawej sceny i chciał zobaczyć, kim są ci trzej, którzy mają być poczęstowani drinkami.

¹ *Pshaw!* (ang.) – Phi! Co takiego?! Też coś! (wyraża dezaprobatę, irytację, niecierpliwość, lub niewiarę).

Cornel kazał napełnić szklanki, wziął swoją do ręki, podszedł do czarnobrodego, który był w pobliżu i szukał wygodnego miejsca dla siebie.

– *Good day!*¹, *sir!* Pragnę ofiarować panu tę szklankę brandy. Uważam pana naturalnie za dżentelmena, bo pijam tylko z ludźmi rzeczywiście szlachetnymi. Mam nadzieję, że opróżni pan tę szklankę za moje zdrowie!

Broda zagadniętego rozszerzyła się, a potem znów ściągnęła, z czego można było wnosić, że przez jego twarz przemknął uśmiech zadowolenia.

– *Well* – odpowiedział. – Nie mam nic przeciwko, by uczynić panu tę przyjemność, ale chciałbym wiedzieć, kto wyświadcza mi ten nieoczekiwany zaszczyt.

– Całkiem słusznie, *sir!* Powinno się wiedzieć, z kim się pije. Nazywam się Brinkley, Cornel Brinkley, do usług. A pan?

– Nazywam się Grosser, Tomasz Grosser, jeśli nie ma pan nic przeciw temu. Twoje zdrowie, Cornelu!

Opróżnił szklankę, przy czym inni też wypili, i zwrócił ją „pułkownikowi”. W poczuciu zwycięstwa Brinkley zmierzył go lekceważącym spojrzaniem od stóp do głów i zapytał:

– Zdaje mi się, że to niemieckie nazwisko. Jesteś więc przeklętym *Deutschmanem*², he?

– Nie, *Germanem*³, *sir* – odpowiedział Niemiec w sposób bardzo uprzejmy, nie dając się wyprowadzić z równowagi grubiaństwem drugiego. – Swego przeklętego *Deutschmana* musi pan skierować pod inny adres. Mnie to nie dotyczy. A więc dziękuję za drinka i żegnam!

Odwrócił się energicznie na pięcie i odszedł szybko, mówiąc do siebie po cichu:

¹ *Good day!* (ang.) – Dzień dobry!

² *Deutschmann* (niem.) – dosł. Niemiec, niemiecki człowiek.

³ *German* lub *Germanin* (łac.) – reprezentant grupy ludów zwanej Germanami – odłamu Indoeuropejczyków żyjących w północnej i środkowo-północnej Europie, na północ od ludów celtyckich – posługujących się językami germańskimi; dzisiejsi Niemcy należą do grupy Germanów Zachodnich (obok Północnych, czyli Skandynawów i Wschodnich, czyli dzisiaj już wtopionych w inne ludy Wandalów, Burgundów, Gotów czy Lugiów).

– A więc rzeczywiście, to ten Brinkley! I nosi teraz imię Cornel! Ten typ knuje coś niedobrego. Kto wie, jak długo przyjdzie mi być z nim na pokładzie. Muszę mieć oczy dookoła głowy.

Brinkley wygrał wprawdzie pierwszą część zakładu, lecz nie wyglądał przy tym na zwycięzcę. Mina mu zrzedła. Zdradzała, że się denerwuje. Miał nadzieję, że Grosser będzie się wzbraniał wypić i trzeba go będzie zmusić do tego groźbą. Ten jednak okazał się mądrzejszy, wpięty, a potem otwarcie powiedział, że jest zbyt mądry, by dawać powód do zwady. Cornel był wściekły. Napełniwszy ponownie szklanekę, podszedł do swojej drugiej ofiary – Indianina.

Wraz z Grosserem weszło na pokład dwóch Indian. Jeden starszy, drugi młodszy, liczący może piętnaście lat. Uderzające podobieństwo ich rysów twarzy kazało się domyślać, że są to ojciec i syn. Byli tak jednakowo ubrani i uzbrojeni, że syn wydawał się odmłodzonym, lustrzanym odbiciem ojca.

Ich odzież składała się ze skórzanych legginów¹ z frędzlami po bokach i farbowanych na żółto mokasynów². Koszuli czy bluzy myśliwskiej nie było widać, gdyż ciała od ramion mieli okryte iskrzącymi się od barw kocami Zuni³, które kosztują często ponad sześćdziesiąt dolarów za sztukę. Czarne włosy, gładko zaczesane do tyłu, opadały na plecy, nadając im kobiecy wygląd. Pełne, okrągłe twarze miały nadzwyczaj dobroduszny wyraz, a wzmacniało go jeszcze i to, że policzki

¹ *Legginy* (ang. *Leggins*) – skórzane lub płócienne nogawice noszone przez Indian.

² *Mokasyny* – rodzaj tradycyjnego obuwia Indian; słowo ‘mokasyn’ pochodzi od algonkińskiego słowa oznaczającego „but” lub „obuwie”, a zapisywanego rozmaicie, np.: *Mockasin* lub *Mawhcasum*, *Mocussinass*, *Mockussinass*; obuwie wykonane z wyprawionej skóry jelenia, łosia, wapiti lub bizona amerykańskiego; wyróżnia się dwa główne rodzaje mokasynów: o twardej zeliwce z niewyprawionej skóry i doszywanych do niej: miękkiej cholewce i języku, używane głównie przez Indian z Równin i południowego zachodu Ameryki Płn.; wykonane z miękkiej skóry, wycięte w całości z jednego kawałka i zszywane na podbiciu i pięcie, charakterystyczne dla Indian z lesistych i trawiastych terenów na wschodzie i północnym zachodzie Ameryki Płn.

³ *Zuni* – plemię z grupy Pueblo Indian Ameryki Północnej; większość Zuni mieszka w stanie Nowy Meksyk w USA (obecnie w rezerwacie); jedno z niewielu plemion amerykańskich, które nigdy nie zostały zmuszone do zmiany miejsca zamieszkania; znane z wyrobu tkanin o wspaniałych wzorach i biżuterii ze srebra i turkus.

mieli pomalowane cynobrem¹ na jasnoczerwony kolor. Flinty, które trzymali w rękach, wydawały się razem niewarte ani pół dolara. W ogóle obaj wyglądali zupełnie niegroźnie, a przy tym tak osobliwie, że jak już wspomnieliśmy, wywołali śmiech wśród pijących. Usunęli się nieśmiało na bok, jakby bali się innych ludzi, i stali oparci o skrzynię z masywnego drewna, tak samo długą jak szeroką, wysokości człowieka. Zdawało się, że na nic nie zwracają uwagi, i nawet kiedy Cornel zbliżył się do nich, nie podnieśli głów, aż stanął obok nich i przemówił:

– Gorąco dziś! A co, może nie, czerwoni chłopcy? Na to dobrze robi napitek. Weź to, stary, i zwilż sobie gardło!

Indianin nie poruszył się. Odpowiedział tylko łamaną angielszczyzną:

– *Not to drink*².

– Co, nie chcesz?! – ryknął właściciel rudej brody. – To jest drink, zrozumiano! Drink! Odmówić drinka, to śmiertelna obraza dla każdego prawdziwego džentelmena, jakim ja jestem. Odpowiada się na nią nożem. A więc, pijesz czy nie? Ale wcześniej muszę wiedzieć, kim jesteś. Jak się nazywasz?

– Nintropan-hauey – odparł zapytany spokojnie i skromnie.

– Do jakiego szczepu³ należysz?

– Tonkawa⁴.

¹ *Cynober* – siarczek rtęci HgS, najważniejsza ruda rtęci, czerwony minerał o diamentowym połysku, od czasów starożytnych używany jako barwy czerwonej, używany w malarstwie jako czerwona farba.

² *Not to drink* (ang.) – nie pić.

³ *Szczep* – mała grupa ludzi, których łączy wspólny język, tradycja, obyczaje i zamieszkiwany teren; często utożsamiana z plemieniem, od którego różni się brakiem wspólnego przodka.

⁴ *Tonkawa* – plemię indiańskie, rdzenni mieszkańcy dzisiejszych stanów Oklahoma i Teksas, mówiący obecnie martwym językiem Tonkawa; w XV w. plemię Tonkawa liczyło prawdopodobnie ok. 5000 członków, a pod koniec XVII w. ich liczba zmniejszyła się do blisko 1600 osób z powodu śmiertelnych zachorowań na nowe choroby zakaźne oraz walk z innymi plemionami indiańskimi, przede wszystkim z Apaczami; nazwa plemienia Tonkawa wywodzi się od słowa „Tickenwatic”, czyli „prawdziwi ludzie” lub od słowa używanego w języku plemienia Waco „Tonkaweya”, czyli „wszyscy trzymają się razem”.

– Więc do tych potulnych czerwonych tchórzy, którzy boją się nawet kota, najmniejszego kociątka! Nie będę się z tobą cackał. Nie chcesz wypić?

– Ja nie pić woda ognista¹.

Powiedział to, mimo groźby Cornela, równie spokojnie, jak przedtem. Cornel wymierzył mu jednak głośny policzek.

– Masz swoją nagrodę, ty czerwony tchórz! – zawołał. – Nie będę się inaczej mścił, bo taka kanalia stoi dla mnie zbyt nisko.

Zaledwie cios został wymierzony, młody Indianin sięgnął dłonią pod koc, z pewnością po broń, a równocześnie jego spojrzenie pobiegło ku twarzy ojca, by sprawdzić, co też on teraz uczyni lub powie.

Czerwonoskóry zmienił się nie do poznania. Zdawało się, że urósł, oczy rozświetliły się, a przez jego oblicze przemknął nagle błysk żywotnej energii. Lecz równie prędko powieki opadły, postać skurczyła się, a twarz przybrała poprzedni wyraz pokory.

– No, cóż na to teraz powiesz? – zapytał Cornel szyderczo.

– Nintropan-hauey dziękować.

– Tak ci się spodobał policzek, że za niego dziękujesz? No to masz jeszcze jeden!

Zamierzył się ponownie, a ponieważ Indianin błyskawicznie uchylił się od ciosu, uderzył ręką w skrzynię, o którą tamci się opierali. Skrzynia wydała głośny, pusty dźwięk. Nagle z wnętrza dało się słyszeć krótkie, ostre warczenie i syczenie, które prędko urosło do dzikiego i przerażającego krzyku, po czym nastąpił tak ogłuszający ryk, iż zdawało się, że statek drży od tych przeraźliwych dźwięków.

Cornel odskoczył o kilka kroków, upuścił szklankę i krzyknął gwałtownym, przenikliwym głosem:

– Wielkie nieba! Co to? Cóż to za bestia tkwi w tej skrzyni? Czy to dozwolone? Ze strachu można umrzeć albo przynajmniej dostać ataku epilepsji²!

¹ *Woda ognista* – wódka.

² *Epilepsja* (padaczka) – grupa przewlekłych zaburzeń neurologicznych charakteryzujących się napadami padaczkowymi, będącymi wyrazem przejściowych zaburzeń czynności mózgu, polegających na nadmiernych i gwałtownych, samorzutnych wyładowaniach bioelektrycznych w komórkach nerwowych; najczęstszym typem napadów są napady drgawkowe.



– Masz swoją nagrodę, ty czerwony tchórz! – zawołał. – Nie będę się inaczej mścił, bo taka kanalia stoi dla mnie zbyt nisko.

Strach ogarnął nie tylko jego, lecz także innych pasażerów. Mężczyźni znajdujący się na pokładzie krzyczeli tak samo głośno jak Cornel. Tylko czterem z nich powieka ani drgnęła: czarnobrodemu, siedzącemu teraz z przodu na dziobie, owemu olbrzymowi, którego Cornel chciał zaprosić na trzeciego drinka i obydwóm Indianom. Te cztery osoby wiedziały to samo co pozostali, że na pokładzie w tej oto skrzyni znajduje się dzikie zwierzę, lecz posiadli moc panowania nad sobą tak wielką, długotrwanie ćwiczoną, że bez trudu przyszło im ukryć zaskoczenie.

Ryk usłyszano także pod pokładem w kajutach. Wiele pań wyszło na górę z głośnym krzykiem i próbowało dowiedzieć się czegoś o grożącym im niebezpieczeństwie.

– To nic, *ladies and messurs*¹! – zawołał bardzo przyzwoicie odziany pan, który właśnie wyszedł ze swojej kabiny. – To tylko panterka, malutka panterka, nic więcej! To moja najdroższa *felis panthera*, tylko czarna, czarniuteńka, *messurs*!

– Co? Czarna pantera! – jęknął mały człowieczek w okularach, po którym widać było, że znał dzikie zwierzęta jedynie z książek zoologicznych, nie zaś z natury. – Czarna pantera to bodaj najniebezpieczniejsze ze wszystkich stworzeń! Jest większa i potężniejsza od lwa i tygrysa! Morduje z czystej żądzы krwi, a nie tylko z głodu. W jakim jest wieku?

– Ma tylko trzy lata, *sir*, nie więcej!

– Tylko? I pan nazywasz to „tylko”? To przecież dorosłe zwierzę! Mój Boże! I taka bestia jest na pokładzie! Któż za to odpowiada?

– Ja, *sir*, ja – odpowiedział elegancki pan, kłaniając się kobietom i mężczyznom. – Pozwólcie, panie i panowie, że się przedstawię! Jestem Jonatan Boyler, właściciel słynnej menażerii², a od pewnego cza-

¹ *Ladies and messurs*! (ang.) – Panie i Panowie! *ladies* (ang. „panie”); *messurs* – liczba mnoga od francuskiego słowa „monsieur”, któremu dodano angielsko-niemiecką wymowę i pisownię; na Dzikim Zachodzie panowała swoista swoboda językowa, której konsekwencją było tworzenie się mieszanki języków niemieckiego, angielskiego, francuskiego, hiszpańskiego oraz odprysków języków indiańskich.

² *Menażeria* – pomieszczenie lub miejsce, w którym zgrupowane są głównie egzotyczne zwierzęta, udostępniane dla zwiedzających lub biorące udział w pokazach cyrkowych; także dzikie, egzotyczne zwierzęta obwożone i pokazywane publicznie.

su przebywam z moją trupą¹ w Van Buren². Ponieważ ta czarna pantera nadeszła do mnie z Nowego Orleanu³, udałem się tam z moim doświadczonym pogromcą zwierząt, aby ją odebrać. Kapitan tego dobrego statku udzielił mi za wysokim wynagrodzeniem pozwolenia załadowania pantery. Postawił przy tym warunek, aby pasażerowie w miarę możliwości nie dowiedzieli się, w jakim znajdują się towarzystwie. Dlatego karmiłem panterę tylko w nocy i dawałem jej zawsze całe ciele, aby była tak nażarta, by się ruszać nie mogła i cały dzień przespała. Ba! Jeśli ktoś bije pięściami w skrzynię, pantera musi się obudzić i dać także głos. Mam nadzieję, że szanowne panie i panowie nie wezmą za złe pobytu panterki na statku, bo przecież nie sprawia najmniejszego kłopotu.

– Co? – zawołał mały okularnik głosem niczym w malignie. – Nie sprawia kłopotu? Nie brać za złe? Do wszystkich diabłów! Muszę przyznać, że z takim żądaniem nie zwracano się do mnie jeszcze nigdy! Mam przebywać na statku z czarną panterą? Niech mnie powieśszą, jeśli to uczynię! Albo ona musi iść precz, albo pójdę ja. Wrzucicie tę bestię do wody! Albo wynieście skrzynię na brzeg!

– Ależ, *sir!* Nie ma absolutnie żadnego niebezpieczeństwa – zapewnił właściciel menażerii. – Proszę przypatrzeć się tej mocnej skrzyni i...

– Ach, co tam skrzynia! – przerwał człowieczek. – Taką skrzynię potrafię ja sam rozbić, a cóż dopiero pantera!

– Proszę pozwolić mi wyjaśnić! W skrzyni znajduje się właściwa żelazna klatka, której nawet dziesięć lwów czy panter nie mogłoby rozbić.

– Czy aby naprawdę! Proszę pokazać klatkę! Muszę się o tym przekonać.

– Tak! Pokaż klatkę, pokaż klatkę! Musimy wiedzieć, na czym stoimy! – zawołało dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, i jeszcze więcej głosów.

¹ *Trupa* – zespół teatralny lub cyrkowy (często wędrowny) wystawiający przedstawienia.

² *Van Buren* – hrabstwo w Stanach Zjednoczonych w stanie Arkansas.

³ *Nowy Orlean* – miasto na południu Stanów Zjednoczonych, największe miasto stanu Luizjana, założone przez francuskich osadników w roku 1718.

Właściciel menażerii był jankesem¹ i pochwycił tę sposobność, aby ogólne żądanie obrócić na swą korzyść.

– Bardzo chętnie, bardzo chętnie! – odpowiedział – ale, panie i panowie, łatwo to zrozumieć, że nie da się obejrzeć klatki, nie widząc pantery. Na to nie mogę sobie jednak pozwolić bez pewnego wynagrodzenia. Aby zwiększyć przyjemność tego rzadkiego widowiska, nakazę karmienie zwierzęcia. Urządzimy trzy miejsca, pierwsze za jednego, drugie za pół, a trzecie za ćwierć dolara. A ponieważ znajdują się tutaj same damy i prawdziwi dżentelmeni, to jestem przekonany, że z góry możemy wykreślić drugie i trzecie miejsca. A może jest ktoś taki, kto chce zapłacić tylko pół, a nawet ćwierć dolara?

Nikt naturalnie nie odpowiedział.

– A zatem tylko pierwsze miejsca. Proszę, *myladies* i *mylords*², dolar od osoby!

Zdjął kapelusz i rozpoczął zbiórkę pieniędzy, podczas gdy pogromca, którego przywołał, czynił przygotowania do przedstawienia.

Pasażerowie byli przeważnie jankesami i jako tacy oświadczyli, że w zupełności zgadzają się z takim obrotem sprawy. Jeśli przedtem większość z nich oburzało, że kapitan zezwolił na transport tak niebezpiecznego drapieżnika na swym parostatku, to teraz wszystkich pogodziła okoliczność, że widowisko z panterą przyniesie pożądaną rozrywkę w nudnej podróży statkiem. Nawet mały uczony przewyciężył swój lęk i czekał z zaciekawieniem na pokaz.

Cornel wykorzystał to wydarzenie, by zaproponować swoim towarzyszom:

– Słuchajcie, chłopcy! Jeden zakład wygrałem, drugi przegrałem, bo czerwonoskóry łotr nie wypił. To się wyrównuje. Trzeci zakład

¹ *Jankes* (ang. *Yankee* lub *Yank*) – posiadające wiele znaczeń określenie Amerykanina; czasami ma ono zabarwienie negatywne i często odnosi się do osób z północnej części Stanów Zjednoczonych; początkowo określenie to stosowane było wobec mieszkańców Nowej Anglii; w czasie i wiele lat po wojnie secesyjnej używane przez mieszkańców Południa w stosunku do ludzi z Północy, po I wojnie światowej wobec wszystkich Amerykanów.

² *Myladies* i *mylords* (ang. „panie i panowie”) – *mylady*: tytuł grzecznościowy stosowany wobec zamężnych arystokratek angielskich; *mylord*: tytuł grzecznościowy stosowany wobec arystokratów angielskich.

zrobmy nie o trzy szklanki brandy, lecz o dolara wstępu, za który trzeba zapłacić. Zgadza się?

Towarzysze naturalnie przyjęli tę propozycję, bo olbrzym nie wyglądał na takiego, który dałby sobie napędzić stracha.

– Dobrze – powiedział Cornel, którego nadmiar alkoholu uczynił pewnym zwycięstwa. – Uważajcie, jak chętnie i szybko ten Goliat¹ napije się ze mną!

Kazał napełnić szklankę i zbliżył się do wspomnianego. Posturę tego człowieka rzeczywiście należało nazwać olbrzymią. Był jeszcze wyższy i szerszy niż czarnobrody, zwany Grosser czyli „większy”. Z pewnością nie był to człowiek przebywający dużo w czterech ścianach, gdyż jego twarz była brunatna od słońca. Piękne, męskie rysy twarzy miały śmiały krój, a błękitne oczy ów szczególnie niedający się opisać wyraz, którym odznaczają się ludzie żyjący na wielkich przestrzeniach, gdzie nic nie zacieśnia horyzontu, a więc marynarze, mieszkańcy pustyni i ludzie prerii. Dodać jeszcze należy, że jego twarz była gładko ogolona, liczył około czterdziestu lat i nosił elegancki garnitur podróży. Nie było widać, by miał przy sobie broń. Stał wśród mężczyzn, z którymi żywo rozprawiał o panterze. Kapitan również stał obok. Zszedł z mostka, aby przyjrzeć się przedstawieniu z panterą.

Teraz podszedł do nich Cornel, stanął na szeroko rozstawionych nogach przed swą trzecią domniemaną ofiarą i rzekł:

– *Sir*, proponuję panu drinka. Mam nadzieję, że nie będzie się pan wzbraniał powiedzieć mi, jako prawdziwemu džentelmenowi, kim pan jest?

Zagadnięty obrzucił go zdumionym spojrzeniem i odwrócił się, aby kontynuować rozmowę przerwana przez nachalnego pijaka.

– Halo! – zawołał Cornel. – Czyś pan głuchy, czy nie chcesz mnie pan umyślnie słuchać? Tego drugiego bym nie radził, bo nie zwykłem żartować, gdy mi kto odmawia drinka. Życzliwie panu radzę nie brać przykładu z Indianina!

¹ *Goliat* – postać biblijna, olbrzymi wojownik filistyński pochodzący z Gat, żyjący w XI wieku p.n.e.; jego wzrost miał wynosić sześć łokci i jedną piędź, czyli ok. 3 metrów; zginął z rąk Dawida, który pokonał go wyrzuconym z procy kamieniem.

Zaczeponiony wzruszył lekko ramionami i zapytał kapitana:

– Słyszał pan, co ten chłopaczyna do mnie mówił?

– *Yes, sir*¹, każde słowo – przytaknął zapytany.

– *Well*², a więc jest pan świadkiem, że ja go nie przywołałem.

– Co?! – wrzasnął Cornel. – Nazywasz mnie pan chłopaczyną? Odmawiasz pan drinka? Czeka cię los Indianina, któremu ja...

Więcej nie powiedział, bo w tej chwili otrzymał od olbrzyma tak potężny cios, że padł na pokład i przekoziółkował daleko. Leżał przez chwilę jak nieżywy, lecz zerwał się szybko, wyciągnął nóż i podniósłszy go do ciosu, rzucił się na olbrzyma.

Ten wsadził ręce do kieszeni spodni i stał tak spokojnie, jakby nie groziło mu najmniejsze niebezpieczeństwo, jakby Cornel wcale nie istniał. Cornel zaryczał wściekle:

– Psie! Uderzyć mnie w twarz? Zapłata jest krew i to twoja!

Kilku mężczyzn, także kapitan, chcieli interweniować, ale olbrzym wstrzymał ich energicznym skinieniem głowy, a kiedy Cornel zbliżył się do niego na dwa kroki, podniósł prawą nogę i przyjął go takim kopniakiem w brzuch, że napastnik znów padł i poturlał się po ziemi.

– A teraz już dość, bo inaczej... – zawołał groźnie Goliat.

Lecz Cornel zerwał się znowu, zasadził nóż za pas i rycząc z gniewu, wyciągnął jeden z pistoletów i skierował go ku przeciwnikowi. Ten jednak wyjął z kieszeni prawą rękę, uzbrojoną w rewolwer.

– Precz z pistoletem! – zawołał, zwracając lufę swojej małej lecz dobrej broni ku prawej ręce napastnika.

Raz – dwa – trzy, rozległy się cienkie, ostre trzaski... Cornel krzyknął i upuścił pistolet.

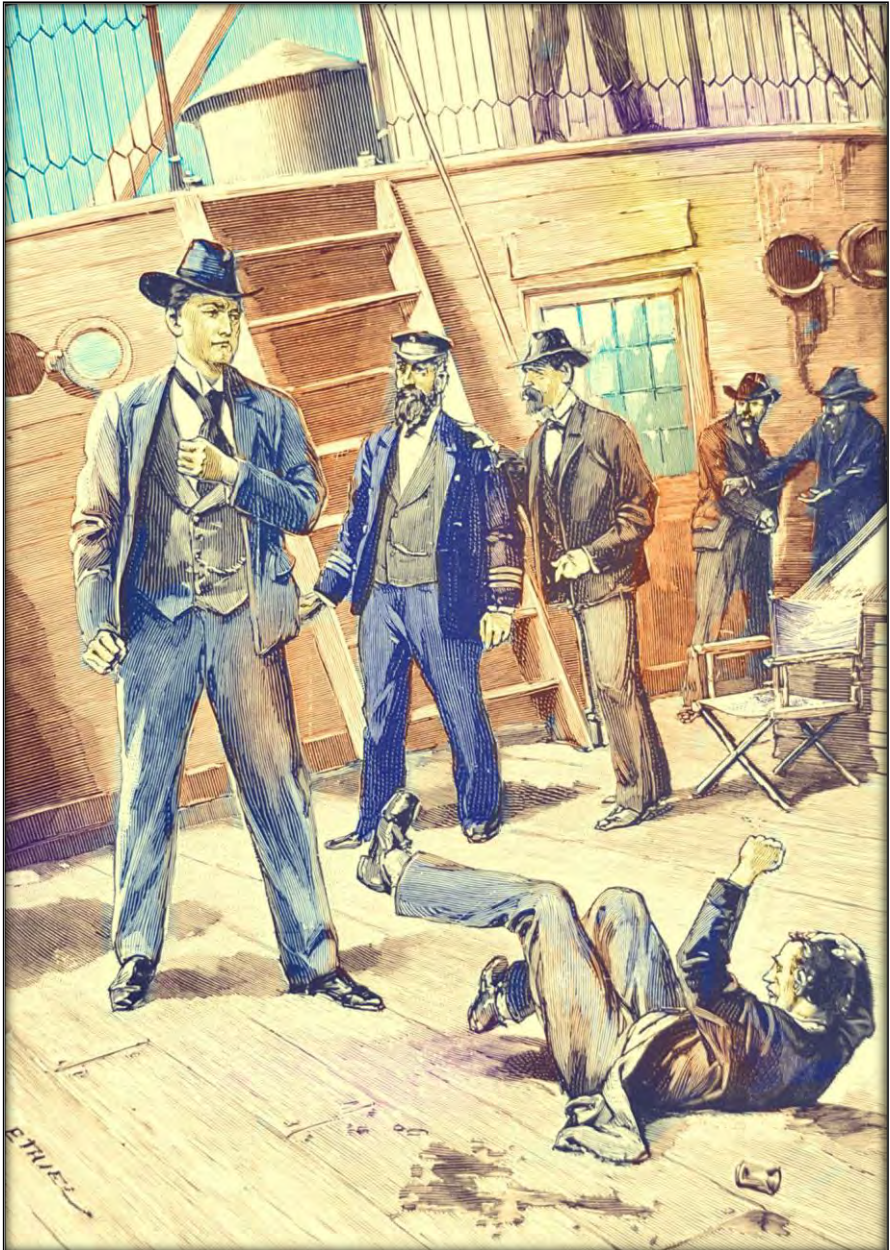
– Tak, chłopaczyno! – rzekł olbrzym. – Nieprędko będziesz znowu wymierzać policzki tym, którzy wzgardzą pićciem ze szklanki, w której umaczałeś swoją gębę. Roztrzaskałem ci łapsko. A jeżeli wciąż jeszcze chcesz wiedzieć, kim jestem, to...

– Do diabła z twoim nazwiskiem! – pieniał się Cornel. – Nie chcę go słyszeć. Ciebie jednak samego chcę i muszę dostać. Na niego, chłopcy, *go on!*³

¹ *Yes, sir* (ang.) – tak jest, panie.

² *Well* (ang.) – tu: dobrze.

³ *Go on!* (ang.) – Dalej!



Więcej nie powiedział, bo w tej chwili otrzymał od olbrzyma tak potężny cios, że padł na pokład i przekoziółkował daleko.

Teraz dopiero okazało się, że draby tworzyły prawdziwą bandę, w której wszyscy stali za sobą murem. Wyrwali noże zza pasów i rzucili się na olbrzyma. Zdawało się, że przegra, jeżeli kapitan nie przywoła swoich ludzi na ratunek. Odważny mężczyzna wyciągnął nogę, podniósł ramiona i krzyknął:

– Chodźcie, jeśli macie odwagę zadzierać z Old Firehandem!

Dźwięk tego nazwiska wywołał natychmiastowy skutek. Cornel, który chwycił znów za nóż niezranioną lewą ręką, zatrzymał się i zawołał:

– Old Firehand! Do wszystkich diabłów, kto by to pomyślał! Dlaczego nie powiedziałeś pan tego przedtem?

– Czy tylko nazwisko chroni dżentelmena przed waszym niegrzecznym zachowaniem? Zabierajcie się stąd, siadajcie spokojnie w kącie i nie pokazujcie mi się więcej na oczy, bo was wszystkich zdmuchnę!

– *Well*, porozmawiamy potem!

Cornel odwrócił się i poszedł ze swoją krwawiącą ręką na przód statku. Jego towarzysze powlekli się za nim jak zbite psy. Usiadłszy, obwiązali swemu przywódcy rękę, rozmawiając przy tym cicho a żywo i rzucając na sławnego myśliwego spojrzenia, które wszak nieprzyjazne, dowodziły jednak, jak wielki czuli przed nim respekt.

Lecz nie tylko na nich wywarło wrażenie to powszechnie znane nazwisko. Wśród z pasażerów nie było z pewnością nikogo, kto by nie słyszał o tym odważnym człowieku, którego całe życie złożone było z niebezpiecznych czynów i przygód. Odstępowano od niego mimowolnie z wielkim szacunkiem i bacznie obserwowano teraz jego wysoką, harmonijnie zbudowaną sylwetkę, która wszystkim już wcześniej rzuciła się w oczy.

Kapitan uściśnił mu dłoń i rzekł tonem jak najbardziej uprzejmym, miłym jankeskiemu uchu:

– Ależ *sir*, powinienem był o tym wiedzieć! Byłbym odstąpił panu własną kajutę. Na Boga, toż to zaszczyt dla „Dogfisha”, że pańskie stopy dotknęły jego desek. Dlaczego podał pan inne nazwisko?

– Powiedziałem panu moje prawdziwe nazwisko. Old Firehandem nazywają mnie westmani, bo ogień z mojej strzelby kierowanej moją ręką zawsze przynosi zgubę.

– Tak słyszałem, pan nigdy nie chybia?

– *Pshaw!* Chybić! To niemożliwe! Każdy dobry westman potrafi dokładnie to samo co ja. Ale widzi pan, jaką korzyść daje znane nazwisko wojenne. Gdyby nie to, doszłoby z pewnością do walki.

– I musiałby pan ulec przemocy!

– Tak pan sądzi? – spytał Old Firehand, a po jego twarzy przemknął uśmiech świadczący o pewności siebie, lecz nie o zarozumiałości. – Gdy idzie o walkę na noże, nie boję się niczego. Zapewne trzymałbym się tak długo, aż nadeszliby z pomocą pańscy ludzie.

– Ci z pewnością by nie zawiedli. Ale co mam teraz zrobić z tymi łotrami? Jestem na statku panem władcą i sędzią. Czy mam ich zakuć w kajdany i tak dostarczyć?

– Nie.

– A może mam ich wysadzić na brzeg?

– Też nie.

– A jednak kara być musi!

– Radzę z tego zrezygnować. Chyba nie chce pan po raz ostatni podróżować swoim *steamerem*?

– Ani myślę! Mam nadzieję, że jeszcze przez wiele lat będę pływał w górę i w dół starej Arkansas.

– A zatem niech pan nie naraża się na zemstę tych ludzi! To byłaby pańska zguba. Są w stanie zaszyć się gdzieś na brzegu i spłatać takiego figla, który kosztowałby pana nie tylko statek, ale i życie.

– Niech się tylko odważą!

– Na pewno się odważą. Zresztą nie byłoby to dla nich wielkim ryzykiem. Wszystko zrobiliby po kryjomu i tak urządzili, że nikt by ich o nic nie posądził.

Teraz dopiero spostrzegł Old Firehand czarnobrodego, który stał w pobliżu, spoglądając na myśliwego proszącym wzrokiem. Old Firehand podszedł do niego i zapytał:

– Czy chce pan mówić ze mną, *sir*? Czy mogę panu wyświadczyć jakąś przysługę?

– Bardzo wielką – odrzekł Niemiec.

– Proszę powiedzieć, jaką!

– Proszę pozwolić mi uścisnąć pańską rękę, *sir!* To wszystko, o co pana proszę. Potem zadowolony odejdę i nie będę się panu więcej naprzykrzał, tę zaś godzinę będę z radością wspominał przez całe moje życie.

Widać było po jego szczerym spojrzeniu i po tonie, że słowa pochodziły prosto z serca. Old Firehand wyciągnął do niego prawą rękę i zapytał:

– Daleko pan płynie?

– Tym statkiem? Tylko do Fort Gibson¹.

– To przecież dość daleko!

– Potem popłynę dalej łódką. Obawiam się, że pan, sławny i nieustraszony, weźmie mnie za tchórza.

– Dlaczego?

– Bo ja przyjąłem przedtem drinka od tego tak zwanego Cornela.

– O, nie! Mogę pana tylko pochwalić, żeś był pan tak rozważny. Chociaż, kiedy potem uderzył Indianina, postanowiłem dać mu ostrą nauczkę, co też się stało.

– Oby posłużyła mu za przestrożę. Poza tym, jeśliś porządnie przestrelił mu pan palce, to jego kariera westmana jest skończona. Nie wiem jednak, co myśleć o czerwonoskórym.

– Jak to?

– Zachował się jak prawdziwy tchórz, a przecież ani drgnął, usłyszawszy ryk pantery. Nijak mi się to nie składa.

– Więc ja pomogę. To dla mnie żaden trud, rzecz tę wyjaśnić.

– Czy zna pan tego Indianina?

– Nigdy wcześniej go nie widziałem, wiele jednak o nim słyszałem.

– Ja także słyszałem, jak wymówił swoje nazwisko. Ale to słowo, na którym można sobie język połamać. Nie do zapamiętania.

¹ *Fort Gibson* – miasto w Stanach Zjednoczonych, w stanie Oklahoma, w hrabstwie Muskogee; w latach 1824-1890 stanowił część północno-południowego łańcucha fortów służących do ochrony granicy Stanów Zjednoczonych z terytoriami zamieszkanymi przez Indian.

– Bo posługiwał się językiem ojczystym, zapewne aby Cornel nie domyślił się, z kim ma do czynienia. Nazwisko jego brzmi Nintropan-hauey, a jego syn nazywa się Nintropan-homosz, to znaczy Wielki Niedźwiedź i Mały Niedźwiedź.

– Czy to możliwe? O tych dwu, ojcu i synu, słyszałem w istocie już często. Tonkawa zatracili bojowego ducha. Tylko ci dwaj Nintropanowie odziedziczyli po przodkach zamiłowanie do wojny i wędrują po górach i prerii.

– Tak, ci dwaj są dzielnymi ludźmi. Chyba nie sądzi pan, że ze strachu nie odpowiedzieli Cornelowi, jak się należało.

– Inny Indianin natychmiast załatwiłby draba!

– Może, a czy nie widział pan, jak syn sięgnął pod koc po nóż czy tomahawk¹? Zobaczył, że twarz ojca pozostała nieporuszona i zaniechał natychmiastowej zemsty. Powiadam panu, Indianom wystarczy mgnienie oka tam, gdzie my, biali, potrzebujemy długiej mowy. Od chwili, gdy Cornel uderzył ojca w twarz, śmierć jego jest rzeczą postanowioną. Obaj Niedźwiedzie nie prędzej zejną z jego tropu, nim go nie zdmuchną. Ale pan podał mu swoje nazwisko. Jak słyszałem, jest pan Niemcem. Jesteśmy więc rodakami.

– Jak to, *sir*? Pan także jest Niemcem? – zapytał czarnobrody, bardzo zdziwiony.

– Ależ tak. Moje prawdziwe nazwisko brzmi Winter. Ja także płynę tym statkiem jeszcze dość daleko, więc będziemy mieli nieraz sposobność porozmawiać.

– Kiedy tylko raczy pan zechcieć. Będzie to dla mnie wielki honor, *sir*.

– Niechże pan nie prawi komplementów. Jestem, jak pan, westmanem, nikim więcej.

– A jakże, generał i rekrut są także nikim więcej jak tylko żołnierzami.

– Czy naprawdę chce się pan porównywać z rekrutem? Zdawać by się mogło, że krótko pan przebywa na Zachodzie.

¹ *Tomahawk* – rodzaj siekierki bojowej z drobnym obuchem i długim drzewcem; najczęściej był obosieczny, czasami jedna strona była ostrzona w szpic; używany przez Indian północnoamerykańskich jako broń obuchowo-sieczna lub broń miotana.

– Nie – odrzekł brodacz skromnie – jestem tu już nieco dłużej. Nazywam się Tomasz Grosser. Nazwisko rodowe się tu pomija. Z Tomasz zrobił Toma, a z powodu mojej wielkiej czarnej brody, nazywają mnie Czarnym Tomem.

– Jak to? – zawołał Old Firehand. – To pan jest tym Czarnym Tomem, słynnym rafterem¹?

– Mam na imię Tom, jestem rafterem, a czy słynnym, w to wątpię.

– Tak, tak! Jest pan słynny, co potwierdzam moim uściskiem dłoni!

– Nie tak głośno, *sir*! – poprosił Tom. – Cornel nie powinien usłyszeć mojego nazwiska.

– Dlaczego nie?

– Mógłby mnie po nim poznać.

– A więc miałeś pan już z nim do czynienia?

– Trochę. Opowiem o tym przy okazji. Pan go nie zna?

– Spotkałem go dziś po raz pierwszy.

– A widzi pan jego brodę i rude włosy i słyszał pan, że nazywa się Brinkley.

– Co też pan mówi! To jest ten rudy Brinkley, ten sam, który popełnił setki przestępstw, a żadnego mu nie udowodniono?

– Tak, to on, *sir*. Poznałem go.

– Jeśli pozostanie dłużej na pokładzie, to będę mu się bacznie przyglądać. I pana muszę także bliżej poznać. Jest pan człowiekiem, jakiego mi potrzeba. Jeśli nie ma pan innych zobowiązań, to chciałbym, aby mi pan pomógł.

– Tak – powiedział Tom, zamyślony patrząc ku ziemi – zaszczyt przebywania z panem wart jest daleko więcej niż wszystko inne. Wprawdzie zawarłem przymierze z innymi rafterami, a nawet obrali mnie swoim przywódcą, ale jeśli da mi pan czas, abym mógł ich powiadomić, taką umowę da się łatwo rozwiązać.

– Świetnie. Musi pan mieć miejsce w kajucie razem ze mną. Dopłatę chętnie uiszczę.

¹ *Rafter* (ang.) – flisak, osoba zajmująca się flisem, czyli rzeczonym splewem (transportem) towarów.

– Dziękuję, *sir!* My, rafterzy, gdy dobrze pracujemy, także zarabiamy dużo pieniędzy. A właśnie teraz mam pełną kieszeń, ponieważ wracam z Vicksburga¹, gdzie przedstawiłem nasze rachunki i zamieniłem je w pieniądź. Sam więc mogę zapłacić za miejsce w kajucie. Proszę zobaczyć! Zdaje mi się, że przedstawienie się zaczyna.

Właściciel menażerii przygotował z pak i skrzyń kilka rzędów siedzeń i teraz w pompatycznych słowach zapraszał publiczność do zajęcia miejsc. Tak też się stało. Również załoga statku mogła przysłuchać się za darmo widowisku, o ile nie była zajęta. Nie zjawił się tylko Cornel, stracił bowiem całą ochotę.

Obu Indian nie zapytano o to, czy zechcą wziąć udział w przedstawieniu. Dwu czerwonoskórych pośród dam i dżentelmenów płacących po dolarze od osoby! Na taką niestosowność nie mógł sobie pozwolić właściciel zwierzęcia. Stali więc w oddaleniu i zdawało się, że nie zwracają najmniejszej uwagi ani na klatkę, ani na widzów, ale ich bystrym, ukradkowym spojrzeniem nie umknęła nawet najmniejsza drobnostka z tego, co się działo.

Większość widzów, siedzących przed zamkniętą jeszcze skrzynią, nie miała należytego pojęcia o czarnej panterze. Drapieżniki z rodziny kotowatych, żyjące w Nowym Świecie², są znacznie mniejsze i mniej groźne niż koty Starego Świata. Gaucho³ na przykład, jaguara, którego zwą tygrysem amerykańskim, potrafi schwytać na łąso i ciągnąć go za sobą, czego nie odważyłyby się zrobić z królewskim tygrysem bengalskim. A lew amerykański, czyli puma, ucieka przed człowiekiem, nawet gdy dręczy ją głód. Toteż większość widzów spodziewała się, porównując w myślach pumę i jaguara, że zobaczy wcale nie silnego drapieżnika, wysokiego co najwyżej na pół metra i tej samej mniej więcej długości. Jakże się zdziwili, gdy usunięto przednią ścianę skrzyni i ujrzeli panterę.

¹ *Vicksburg* – miasto utworzone w 1867 r., w Hrabstwie Chaffee, w stanie Colorado; początkowo obóz poszukiwaczy złota.

² *Nowy Świat* – tak nazywano odkrytą przez Kolumba w 1492 roku Amerykę, w odróżnieniu od Starego Świata, tj. Europy, Azji i Afryki.

³ *Gaucho* (gauczo, hiszp.) – mieszkaniec stepowych terenów Argentyny i Urugwaju, trudniący się hodowlą bydła.

Od załadunku w Nowym Orleanie leżała ona w ciemności. Skrzynię otwierano tylko nocą. Teraz więc po raz pierwszy zobaczyła znów światło dzienne, które ją oślepiło. Zamknęła ślepią, leżąc wciąż wyciągnięta na całą długość skrzyni. Potem mrugnęła lekko powiekami i dostrzegła siedzących przed nią ludzi. Natychmiast zerwała się na nogi, wydała ryk, który wywarł takie wrażenie, że większość widzów zerwała się do ucieczki.

Było to wyrośnięte, wspaniałe zwierzę, wysokie z pewnością na metr, a na dwa długie, nie licząc ogona. Pantera, szczerząc straszliwe zębiska, chwyciła przednimi łapami pręty żelaznej klatki i tak nimi potrząsała, że aż skrzynia się poruszyła. Strach potęgowało jeszcze bardziej czarne umaszczenie pantery.

– *My ladies and gentlemen!*¹ – powiedział właściciel menażerii tonem objaśnienia. – Czarna odmiana pantery zamieszkuje Wyspy Sundajskie², ale te zwierzęta są małe. Prawdziwa czarna pantera, która jest rzadkością, pochodzi z Afryki Północnej, z obrzeży Sahary. Jest ona równie silna jak lew, a znacznie bardziej od niego niebezpieczna. Potrafi unieść w swej paszczy dużego wołu. Co mogą zdziałać jej zęby, zaraz państwo zobaczą, bo nadchodzi pora karmienia.

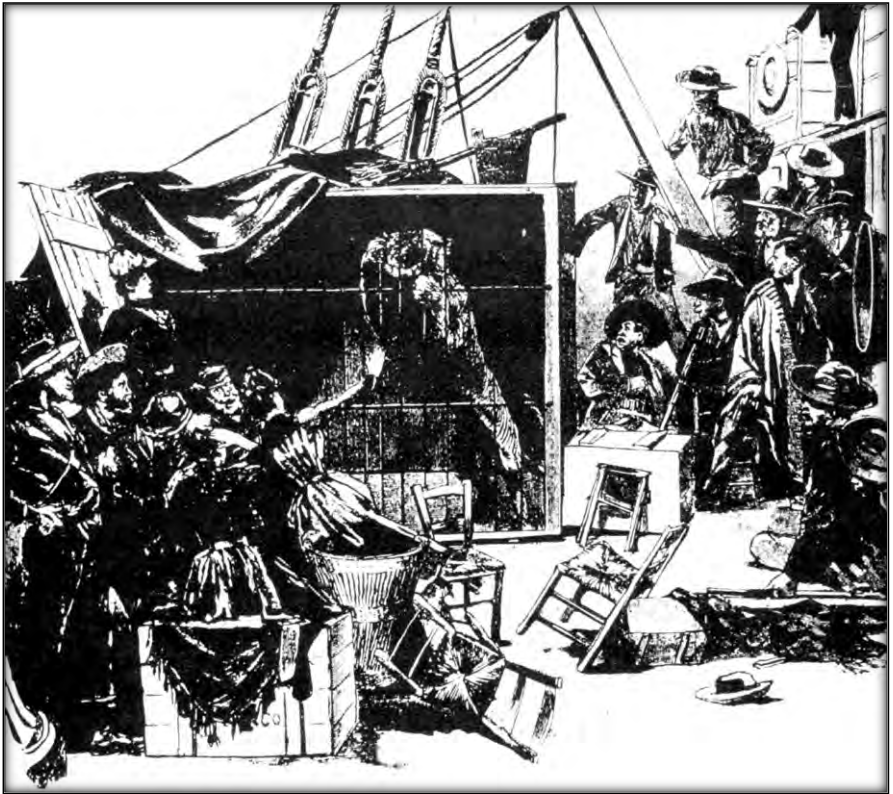
Pogromca przyniósł pół owcy i położył przed klatką. Pantera, czując mięso, poczęła zachowywać się jak oszalała: rzucała się, prychała i ryczała tak, że co strachliwsi widzowie cofnęli się jeszcze dalej.

Murzyn pracujący przy maszynie parowej nie mógł oprzeć się ciekawości i wśliznął się między widzów, ale kapitan, zobaczywszy go, kazał mu natychmiast wracać do pracy. Jednak czarnoskóry nie posłuchał od razu. Kapitan pochwycił leżącą obok końcówkę liny i wymierzył mu kilka uderzeń. Skarcony cofnął się szybko, a stanąwszy przy luku³ prowadzącym do maszynowni, zrobił za plecami kapitana marsową minę i pogroził mu pięścią. Ponieważ widzowie byli skupieni tylko na panterze, niczego nie zauważyli. Cornel spostrzegł jednak zachowanie Murzyna i rzekł do swoich towarzyszy:

¹ *My ladies and gentlemen!* (ang.) – Moje panie i panowie!

² *Wyspy Sundajskie* – część Archipelagu Malajskiego.

³ *Luk* – zamykany otwór w pokładzie statku lub jego nadbudówki, służący do ładowania i wyładowywania towarów, schodzenia w głąb kadłuba statku, oświetlania i wietrzenia pomieszczeń pod pokładem.



Natychmiast zerwała się na nogi, wydała ryk, który wywarł takie wrażenie, że większość widzów zerwała się do ucieczki.

– Ten czarnuch nie wydaje się żywić do kapitana przyjaznych uczuć. On może nam się przydać. Musimy się nim zająć. Kilka dolarów zdziała u Murzynów cuda.

Tymczasem pogromca wsunął mięso między żelazne pręty klatki, spojrział badawczo na widzów i powiedział po cichu kilka słów do swego pana, który potrzęsnał z powątpiewaniem głową. Tamten jednak tłumaczył mu coś dalej i zdawało się, że rozproszył jego obawy, bo właściciel menażerii skinął wreszcie głową i oświadczył publiczności siedzącej i stojącej przed klatką:

– Panie i panowie! Powiadam wam, macie ogromne szczęście. Oswojonej czarnej pantery nie widziano jeszcze nigdy, przynajmniej tu, w Stanach. W czasie trzytygodniowego pobytu w Nowym Orleanie mój pogromca wziął panterę na przeszkolenie i teraz oświadcza, że po raz pierwszy publicznie wejdzie do klatki i usiądzie obok zwierzęcia, jeśli przyrzekną mu państwo stosowne wynagrodzenie.

Pogromca był silnym, nadzwyczaj muskularnym mężczyzną. Jego twarz wyrażała niezwykłą pewność siebie. Był w pełni przekonany o powodzeniu swego zamiaru, czego dowodził swą tryskającą optymizmem miną.

Pantera rzuciła się na swe żarcie, a jej zęby miażdżyły kości niczym papier. Zdawało się, że nic poza tym jej nie obchodzi, stąd laik¹ mógł powziąć przekonanie, że wejście do klatki w tej chwili nie jest zbyt dużym niebezpieczeństwem.

Nie kto inny, jak mały uczony okularnik, poprzednio tak bojaźliwy, odpowiedział entuzjastycznie:

– To byłoby wspaniałe, *sir*! Czyn brawurowy, za który warto zapłacić. Ile chce ten człowiek?

– Sto dolarów!

– Hm! A nie jest to za wiele?

– Nie, o wiele za mało, *sir*. Niebezpieczeństwo, na jakie się naraża, jest niemałe, bo nie jest jeszcze całkowicie, ba, nawet w połowie pewny zwierzęcia.

¹ *Laik* – człowiek nieznający się na danej rzeczy, niekompetentny w danej dziedzinie; dyletant, profan, amator.

– Tak! Nie jestem wprawdzie bogaty, ale daję pięć dolarów. Panie i panowie, kto się jeszcze dołoży?

Zgłosiło się tylu chętnych, że potrzebna suma szybko została zebrana. Widowiskiem, które dopiero co się rozpoczęło, należało w pełni się nacieszyć. Nawet kapitan uległ gorączce i zaproponował zakład.

– *Sir!* – ostrzegł go Old Firehand. – Niech pan nie popełnia błędu! Proszę na to nie pozwolić! Właśnie dlatego, że ten człowiek nie jest jeszcze pewny zwierzęcia, ma pan obowiązek odwołać przedstawienie.

– Odwołać? – zaśmiał się kapitan. – Też coś! Czy jestem niańką pogromcy? Mam mu wydawać rozkazy? Tu, w tym błogosławnym kraju, każdy ma prawo wystawiać swoją skórę na sprzedaż według własnego upodobania. Jeśli pantera go pożre, to jego i pantery sprawa, a nie moja. A więc, dżentelmeni! Twierdzę, że ten człowiek nie wyjdzie bez szwanku, jeśli wejdzie do klatki. Stawiam zakład o sto dolarów. Kto się zakłada? Dziesięć procent wygranej otrzyma dodatkowo pogromca!

Ten przykład zelektryzował ludzi. Zawierano zakłady o całkiem znaczne sumy i okazało się, że jeśli zamiar pogromcy się powiedzie, przyniesie mu to około trzystu dolarów.

Nie było powiedziane, czy pogromca ma być uzbrojony, toteż wziął ze sobą „zabijak”, bicz, którego rękojeść kryła w środku kulę eksplodującą. Gdyby zwierzę rzuciło się na niego, wystarczyło jedno silne uderzenie, aby panterę zabić w jednej chwili.

– Ja nie dowierzam nawet zabijakowi – odezwał się Old Firehand do Czarnego Toma. – Fajerwerk byłby bardziej praktyczny, bo odstraszyłby zwierzę, nie zabijając go. Ale niech każdy czyni według własnego uznania. Pochwała będzie się należeć, gdy rzecz ta zakończy się powodzeniem.

Tymczasem pogromca wygłosił do publiczności krótkie przemówienie, podszedł do klatki i odsunawszy ciężką zasuwę, usunął na bok wąską, służącą za drzwi, kratę wysokości około pięciu stóp¹. By wejść

¹ *Stopa* – angielska miara długości (*foot*), stosowana od czasów rzymskich, wynosi 30,48 cm.

do środka, musiał się schylić i przy tym kratę przytrzymać rękoma, a potem, będąc już w klatce, zamknąć ją za sobą. Dlatego wziął zabijak w zęby, stając się na tę krótką chwilę zupełnie bezbronnym. Wprawdzie nieraz był już w klatce ze zwierzęciem, lecz w całkiem innych okolicznościach. Wówczas pantera nie przebywała całymi dniami w ciemnościach i nie było w pobliżu tylu ludzi, nie płoszyły jej stukanie maszyny, szum i łoskot kół. Tych okoliczności nie wziął pod uwagę ani właściciel menażerii, ani pogromca, a skutki objawiły się natychmiast.

Kiedy pantera usłyszała szelest kraty, odwróciła się. W tej właśnie chwili pogromca, schyliwszy się, wsadził głowę do klatki. Szybkie jak myśl poruszenie zwierzęcia, błyskawiczny skok i głowa, już bez zabijaka, znalazła się w paszczy pantery i... jedno kłapnięcie zrobiło z niej miazgę.

Krzyku, jaki się w tej chwili podniósł przed klatką, nie da się wprost opisać. Wszyscy zerwali się w dzikiej panice do ucieczki. Tylko trzy osoby pozostały na miejscu: właściciel menażerii, Old Firehand i Czarny Tom. Pierwszy usiłował zasunąć kratę, ale było to niemożliwe, bo ciało pogromcy blokowało wejście do klatki, leżąc częściowo w środku, częściowo na zewnątrz. Właściciel menażerii chwycił trupa za nogi i chciał go wyciągnąć na zewnątrz.

– Na miłość boską, tylko nie to! – zawołał Old Firehand. – Pantera wyjdzie za nim. Niech pan wepchnie ciało całkiem do środka, przecież to już tylko trup, wtedy drzwi dadzą się zamknąć!

Pantera leżała przed pozbawionym głowy ciałem. Rozwarta, ociekająca krwią paszcza, z której wystawały jeszcze potrzaskane kości, zwracała błyszczące oczy na swego pana. Zdawało się, że odgaduje jego zamiary, bo nagle ryknęła gniewnie i podczołgała się przed trupa, przytrzymując go ciężarem swojego cielska. Głowa jej znalazła się zaledwie o kilka cali¹ od otworu.

– Precz, precz! Uciekaj! – krzyknął Old Firehand. – Tom, pańska strzelba! Strzelba! Rewolwer tylko powiększy nieszczęście!

¹ Cal – angielska miara długości, jedna dwunasta stopy, obecnie wynosi 25,4 mm.

Czarny Tom skoczył po swą dubeltówkę.

Od chwili, kiedy pogromca wszedł do klatki, upłynęło mniej niż dziesięć sekund. Nikt nie miał dość czasu, by znaleźć bezpieczne schronienie. Cały pokład zapełniała gromada uciekających i krzyżących z trwogi. Drzwi kajut i pod pokład zostały zapchane. Pasażerowie chronili się za beczkami i pakami, to znów biegli dalej, nie czując się nigdzie w pełni bezpiecznie.

Kapitan rzucił się ku mostkowi i wskoczył nań, przeskakując na raz po trzy, cztery schodki. Old Firehand podążył za nim. Właściciel menażerii schronił się za tylną ścianą klatki, a Czarny Tom, pędząc po swą broń, przypomniał sobie jednak, że przywiązał do niej topór i nie będzie mógł jej natychmiast użyć. Zatrzymał się więc obok Indian i wyrwał starszemu z nich strzelbę z ręki.

– Sam strzelać! – rzekł Wielki Niedźwiedź, wyciągając rękę ku broni.

– Puść! – krzyknął rozkazująco brodacze. – Strzelam lepiej niż ty!

Odwrócił się ku klatce, którą właśnie opuściła pantera. Zwierzę podniosło łeb do góry i ryknęło. Czarny Tom złożył się i wypalił. Huknął strzał, ale kula chybiła. Wyrwał więc śpiesznie strzelbę młodszemu Indianinowi i strzelił do zwierzęcia – także chybił.

– Źle strzelać. Nie znać strzelby – rzekł Wielki Niedźwiedź tak spokojnie, jakby siedział bezpiecznie, piekąc pieczeń na ognisku w swym wigwamie¹.

Niemiec, nie zważając na te słowa, odrzucił strzelbę i pobiegł ku przodowi, gdzie leżała broń ludzi Cornela. Ci džentelmeni nie mieli bynajmniej ochoty podjąć walki ze zwierzem, więc czym prędzej się pochowali.

¹ *Wigwam* – rodzaj nieprzenośnej chaty Indian Ameryki Północnej, głównie obszaru Wielkich Jezior; budowla w formie kopuły ewentualnie tunelu (rzadziej stożka), zbudowana na szkielecie z prętów drewnianych lub ze zgiętych młodych drzew, połączonych na wierzchołku, pokrywany korą (głównie brzoźową), plecionymi matami trzcinowymi albo skórą, z pozostawionym na górze otworem dymnym; wigwam ma zwykle jedno wejście, zakrywane skórą zwierzęcą, plecioną matą lub derką; wigwam zwykle nie ma podłogi, na ziemi bywają rozłożone gałęzie jodłowe, skóry lub futra; na środku znajduje się miejsce na ognisko; nazwa pochodzi z języka algonkin.

Nagle w pobliżu mostka kapitańskiego rozległ się przeraźliwy wrzask. Pewna kobieta chciała się tam schronić, wydała z siebie ten krzyk, gdy ujrzała ją pantera i podbiegła ku niej długimi, miękkimi susami. Kobieta znajdowała się jeszcze u dołu schodów, gdy Old Firehand stał na piątym lub szóstym stopniu. W mgnieniu oka pochwycił ją, przyciągnął ku sobie i podniósł silnymi ramionami w górę, gdzie odebrał ją kapitan. Stało się to w ciągu dwu sekund. Pantera była teraz przy mostku, a oparłszy przednie łapy na jednym ze stopni, już spinała się w sobie, by skoczyć na Old Firehanda, gdy ten wymierzył jej potężne kopnięcie w nos i strzelił w łeb trzema kulami rewolweru.

Ten sposób obrony był właściwie śmieszny. Kopnięciem i kilkoma kulkami rewolwerowymi, nie większymi od grochu, nie odstraszy się czarnej pantery, ale Old Firehand nie posiadał skuteczniejszej broni. Był przekonany, że zwierzę pochwyti go teraz, lecz tak się nie stało. Pantera, pozostając na schodach w postawie wyprostowanej, odwróciła powoli głowę, jakby się rozmyśliła. Czyżby kulom, które nie mogły przebić się przez jej twardą czaszkę, udało się ją nieco otumanic? A może kopnięcie wymierzone w jej czuły nos, było zbyt bolesne? Dość powiedzieć, że nie zwróciła więcej ślepi na Old Firehanda, lecz na przedni pokład, gdzie trzynastoletnia może dziewczynka stała bez ruchu, jakby sparaliżowana strachem, wyciągając obie ręce ku mostkowi kapitańskiemu. Była to córka owej kobiety, którą Old Firehand dopiero co uratował przed panterą. Dziecko także uciekało, lecz zobaczywszy matkę w niebezpieczeństwie, osłupiało z przerażenia. Jasna, z dała widoczna sukienka dziewczynki przyciągnęła wzrok zwierzęcia. Pantera zdjęła łapy ze schodów, obróciła się i w długich na sześć do ośmiu łokci¹ skokach rzuciła się na dziecko, które widząc te przerażające susy, nie było w stanie ani się poruszyć, ani wydać z siebie żadnego dźwięku.

– Moje dziecko, moje dziecko! – rozpaczła matka.

Wszyscy, widząc to, wyli lub krzyczeli, lecz nikt nie ruszył ani ręką ani nogą, by przyjść na ratunek. Brakowało też czasu. Czy brako-

¹ *Łokieć* – jednostka długości równa 1/3 sążnia, czyli ok. 62 cm (w różnych krajach i w różnych okresach łokieć miał różną wartość, np. w Polsce ok. 57,6 cm).

wało? Czy rzeczywiście nikt nie ruszył na pomoc? A jednak znalazł się jeden, i to ten, po którym najmniej spodziewano by się roztropności, odwagi i przytomności umysłu. Był to młody Indianin.

Stał z ojcem w odległości może dziesięciu kroków od dziewczynki. Kiedy spostrzegł niebezpieczeństwo, w którym znalazła się mała, błysnął oczyma, spojrzął na prawo i lewo, jakby szukając drogi ratunku, potem zrzucił koc z ramion i krzyknął do swojego ojca w języku Tonkawa:

– *Tiakaitat, szai szoyana*¹!

Skoczył w dwu susach ku dziewczynce, chwycił ją wpół, rzucił się z nią ku relingowi² i stanął na nim. Tam zatrzymał się na chwilę, aby się obejrzeć. Pantera była za nim i właśnie gotowała się do ostatniego skoku. Ledwie łapy zwierzęcia uniosły się nad ziemię, młody Indianin skoczył z poręczy w dół, kierując się nieco w bok, aby w rzece nie znaleźć się obok zwierzęcia. Woda zakryła go wraz z dziewczynką. W tej chwili pantera, której siła skoku była tak duża, że nie mogła się zatrzymać, przeskoczyła poręcz i runęła w nurt rzeki.

– Stop! Zatrzymać statek! – zakomenderował przytomnie kapitan przez tubę do maszynowni.

Inżynier dał kontrparę³, parostatek zatrzymał się i stanął spokojnie, bo koła nabierały tylko tyle wody, ile było potrzeba, aby uniknąć cofania się.

Ponieważ niebezpieczeństwo dla pasażerów minęło, wszyscy wybiegli pospiesznie ze swych kryjówek ku burcie⁴. Matka dziecka zemdlała, a ojciec krzyczał przeraźliwie:

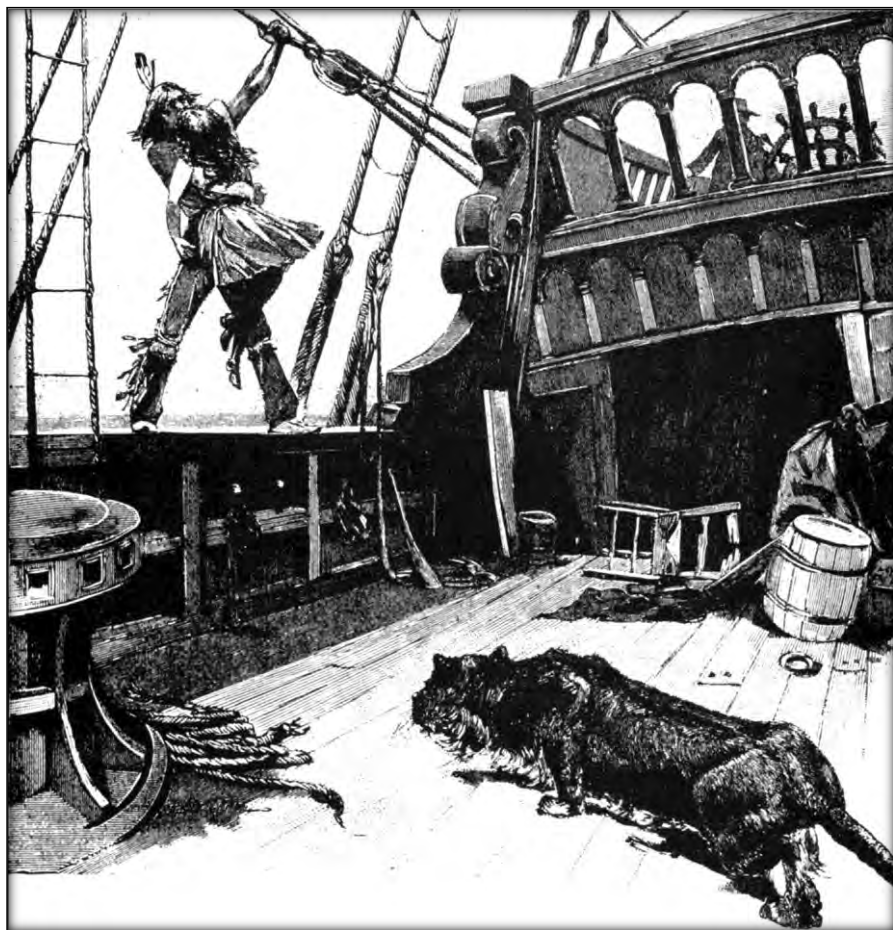
– Tysiąc dolarów za uratowanie mojej córki! Dwa, trzy, pięć tysięcy! Jeszcze więcej! O wiele więcej!

¹ *Tiakaitat, szai szoyana* (ind.) – Pozostań, ja popłynę.

² *Reling* – pionowa bariera zabezpieczająca znajdujących się na pokładzie ludzi przed wypadnięciem za burtę lub upadkiem na niższy pokład; zbudowana z metalowych lub drewnianych słupków, połączonych metalowymi rurkami, prętami, drewnianymi przesłkami, linami.

³ *Kontrpara* (niem. *Gegendampf*) – hamowanie pojazdem parowym (np. parostatkami lub parowozem).

⁴ *Burta* – strona na statku wodnym, każda z połówek jednostki pływającej, rozdzielonych płaszczyną symetrii kadłuba.



Pantera była za nim i właśnie gotowała się do ostatniego skoku.

Nikt go jednak nie słuchał. Wszyscy wychylali się przez reling, patrząc na rzekę, gdzie pantera, potrafiąc znakomicie pływać, leżała z rozłożonymi łapami i rozglądała się za łupem – nadaremnie. Odważnego chłopca z dziewczynką nie było widać.

– Utonęli! Dostali się pod koła! – biadał ojciec, wrywając sobie obiema rękami włosy. Nagle po drugiej stronie statku rozległ się ostry głos starego Indianina:

– Nintropan-homosz być mądry, przepłynąć pod statkiem, żeby pantera go nie zobaczyć. Tu być w dole!

Podróżni popędzili teraz na pokład sternika, a kapitan rozkazał rzuć liny. Rzeczywiście, w dole, tuż przy burcie statku, płynął powoli na plecach, aby go nie uniosły fale, Mały Niedźwiedź, podtrzymując nieprzytomną dziewczynkę. Prędko zrzucono im liny. Chłopiec jedną z nich przewiązał dziewczynkę pod ramionami. Podczas gdy wciągano ją na górę, on sam po drugiej linie wdrapał się zwinnie na pokład.

Przywitano go hałaśliwie i radośnie, lecz on odszedł dumnie, nie rzekłszy ani słowa. Kiedy jednak przechodził obok Cornela, który również się przypatrywał, stanął przed nim i odezwał się tak głośno, aby każdy go usłyszał:

– I co? Czy Tonkawa obawia się małego, wściekłego kota? Cornel uciekł wraz z dwudziestu bohaterami, a Tonkawa skierował wielkiego potwora na siebie, aby uratować dziewczynkę i pasażerów. Cornel wnet usłyszeć jeszcze więcej o Tonkawa!

Uratowaną zanieśli do kajuty. Wtem sternik, mający najlepszą widoczność, wskazał ręką ku bakburcie¹ i zawołał:

– Patrzcie na panterę! Patrzcie, tratwa!

Teraz wszyscy pobiegli ku wskazanej stronie, gdzie oczekiwało ich nowe, nie mniej emocjonujące widowisko. Nie spostrzeżono bowiem przedtem małej tratwy, zbudowanej z chrustu i sitowia, na której siedziały dwie osoby, chcące z prawego brzegu rzeki dostać się na parostatek. Pracowali wiosłami zrobionymi z gałęzi. Jedną z osób był chłopiec, drugą, jak się zdawało, kobieta, ubrana bardzo osobliwie. Zobaczo-

¹ *Bakburta* – lewa burta, gdy patrzy się w stronę dziobu statku.

no nakrycie głowy, podobne do dawnego czepca, skrywające rumianą, pełną buzię z małymi oczkami. Reszta postaci tkwiła w szerokim worku lub czymś podobnym, czego kroju i fasonu nie można było określić, bo osoba ta nie stała, lecz siedziała. Czarny Tom zapytał Old Firehanda:

– *Sir*, zna pan tę kobietę?

– Nie. Czy jest tak słynna, że powinienem ją znać?

– Tak sędzę. Wcale nie jest kobietą, lecz mężczyzną, myśliwym preriowym i zastawiaczem sideł. A tam płynie pantera. Zobaczysz pan teraz, czego potrafi dokonać niewiasta, która jest mężczyzną.

Potem wychylił się przez poręcz i krzyknął:

– Hola! Ciotko Droll, uwaga! To bydlę ma na ciebie chrapkę!

Tratwa była oddalona od *steamera* o jakieś pięćdziesiąt kroków. Pantera, szukając swoich ofiar, jeszcze ciągle pływała w tę i z powrotem obok statku. Teraz zobaczyła tratwę i skierowała się ku niej. Rzekoma kobieta, znajdująca się na tratwie, spojrzała na pokład, a poznawszy tego, który do niej wołał, odpowiedziała wysokim falsetem¹:

– Co za traf! Czy to ty, Tom? Bardzo się cieszę, że cię tu widzę, jeśli to potrzebne! Co to za zwierzę?

– Czarna pantera, która zeskoczyła z pokładu. Zejdz jej z drogi! Prędko, prędko!

– Oho! Ciotka Droll nie ucieka przed nikim, nawet przed panterą, obojętne – czarną, niebieską czy zieloną. Czy wolno to bydlę zastrzelić?

– Oczywiście! Ale nie uda ci się tego dokonać! Należała do menażerii, a jest najniebezpieczniejszym drapieżnikiem na świecie. Uciekaj na drugą stronę statku!

Nikt oprócz Toma nie znał tej śmiesznej postaci, ale wszyscy pokrzykiwali, starając się ją ostrzec i namówić do ucieczki. Ona jednak zdawała się znajdować przyjemność w grze w berka ze ścigającą ją panterą. Posługiwała się kruchym wiosłem po mistrzowsku i umiała ominąć zwierzę ze zdumiewającą zręcznością. Podczas tej zabawy zawołała swym piskliwym głosem:

¹ *Falset* – głos męski wyższy od naturalnego, naśladowujący głos kobiecy.

– Zaraz ci pokażę, jak to się robi, stary Tomie. Gdzie się strzela do takiej kreatury, jeśli to potrzebne?

– W oko! – odpowiedział Old Firehand.

– *Well!* A więc pozwólmymy zbliżyć się temu szczurowi wodnemu.

Śmieszna postać odłożyła wiosło i chwyciła leżącą obok strzelbę. Tratwa i pantera płynęły szybko ku sobie. Drapieżny zwierz szeroko otwartymi, nieruchomymi ślepiami spoglądał na wroga, który złożywszy się do strzału, krótko wycelował i dwukrotnie wypalił. W okamgnieniu dziwna postać odłożyła strzelbę, chwyciła za wiosło i odepchnęła tratwę. Pantera zniknęła. Tam, gdzie widziano ją ostatnio, wir wskazywał miejsce jej walki ze śmiercią. Potem zobaczono, że jej martwe, nieruchome ciało znów wypłynęło na powierzchnię dalej, w dole rzeki. Płynęło tak kilka sekund, po czym woda pociągnęła je znów w głąb.

– Mistrzowski strzał! – zawołał Tom z pokładu, a zachwyceni pasażerowie mu wtórowali. Wszyscy oprócz właściciela menażerii, który stracił drogą panterę i pogromcę zwierząt.

– Były dwa strzały – powiedziała dziarska postać na rzece. – W każde oko jeden! Dokąd płynie ten parostatek, jeśli to potrzebne?

– Tam, gdzie znajdzie dość wody – odparł kapitan.

– Chcemy się dostać na pokład i w tym celu zbudowaliśmy na brzegu tę tratwę. Czy zechce nas pan przyjąć?

– A masz czym zapłacić za podróż, *madame*¹ albo *sir*? Doprawdy nie wiem, czy wciągam na pokład mężczyznę czy kobietę?

– Ciotkę, *sir*. Otóż jestem Ciotką Droll. Zrozumiano, jeśli to potrzebne? A co się tyczy zapłaty, to zwykłem płacić dobrym złotem albo nawet *nuggetami*².

– Już spuszczam drabinę! Wchodźcie na pokład! Zabieramy się stąd, musimy odpłynąć od tego nieszczęśliwego miejsca.

¹ *Madame* (franc.) – forma grzecznościowa w stosunku do kobiet klas wyższych: pani, wielmożna pani; również forma grzecznościowa w stosunku do kobiet zamężnych pani, proszę pani, a także ironicznie: pani, wielka pani, paniusia, damulka, damula, królowa, miss.

² *Nugget* (ang.) – samorodek, bryłka złota lub srebra, w zachodnich stanach stanowiła środek płatniczy, zastępujący pieniądze.

Spuszczono drabinę sznurową. Najpierw wspiął się po niej chłopiec, również uzbrojony w strzelbę. Po czym Ciotka, zarzuciwszy broń na plecy, podniósł się, chwycił drabinę, odepchnął tratwę i z kocią zręcznością wdrapał się na pokład, gdzie przyjęto go spojrzeniami pełnymi zdumienia.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!